

J. H. Rosny.

Podwójne życie Piotra de Givreuse.

(Z francuskiego tłumaczyła M. J. MIGOWA)

5

— Nie mamy bowiem pełni ani sił naszych, ani zdolności jeżeli nie jesteśmy razem. Skoro nas rozdzielają, słabniemy, zmienia się dźwięk naszego głosu... pamięć staje się mniej pewną. Myśli tracą na jasności, a zmysły na wrażliwości...

Te słowa potęgowały rozpacz Augustyna de Rougeterre. Napróżno usiłował wyzwolić się z pod przemocy niezachwianej pewności, jaka z nich tchnęła. Nie chciał dać się przekonać, nie mógł uwierzyć. Minuta mijала za minutą. Nikt się nie odzywał.

— A zatem dobrze! — rzekł wreszcie hrabia — Wystawię was na próbę. Niechże jeden z was uda się za mną.

Jeden z młodych żołnierzy podniósł się. Hrabia Augustyn poprowadził go przez długą galerię do swego gabinetu.

Tam odsunął jedną szufladę w biurku i wyjął z niej niewielki album. Otworzył go na drugiej stronie i wskazując rysunek piórkiem, przedstawiający młodą kobietę, zapytał:

— Kto to jest?

— To moja cioteczna babka, Paulina de Rougeterre.

— Kto wykonał ten rysunek?

Ty sam, wuju.

Rysunek nie był podpisany.

Twarz Augustyna de Rougeterre drgnęła łagodnym wzruszeniem. Pochylił się nagle ku młodemu człowiekowi i uściśnął go serdecznie. Tamten oddał mu uścisk z widoczną tkliwością, ale zarazem jakoś dziwnie sztywnie.

— Spojrz jeszcze! — rzekł starzec.

Pokazał młodzieńcowi kilkanaście starych dagerotypów i kilka nowszych fotografii. Piotr de Givreuse poznał wszystkie.

W końcu z lekkim drżeniem stary hrabia otworzył miniaturowe pudełeczko z szyldkretu. Zabłysnął pierścień starodawnego kształtu, zdobny wielkimi szmaragdami najpiękniejszej wody.

— To jest klejnot rodzinny! — oświadczył poważnie Piotr — Był własnością prababki mojej, markizy Katarzyny de Givreuse, która zginęła na szafocie w styczniu 1794 roku.

— Niema wątpliwości! — zawołał radośnie hrabia de Rougeterre — To ty jesteś moim siostrzeńcem Piotrem!

— Poczekaj wuju — odparł młodzieniec z widocznym znużeniem — jeszcze nie pytałeś o nic mojego towarzysza.

Hrabia Augustyn pochylił głowę. Był nieco spokojniejszy. Cała przygoda wydawała mu się wprawdzie ciągle jeszcze niezwykle, traciła jednak charakter czegoś nadprzyrodzonego.

Starzec rzekł jednak:

— Zobaczymy. Czy zechcesz poczekać na mnie w wielkim salonie?

— Dobrze, wuju.

Hrabia powrócił do drugiego młodzieńca. Następnie pokazał i jemu rysunek piórkiem, przedstawiający młodą kobietę.

Tak jak tamten, poznał żołnierz Paulinę de Rougeterre i pamiętał o tem, kto rysunek wykonał.

Myśl hrabiego jeła błądzić znowu w jakimś nieprzejrzanym mroku.

W miarę, jak młodzieniec rozpoznawał nagromadzone portrety, w duszy starca potęgowało się przeświadczenie, że dzieje się jakiś niepojęty cud.

— Czyż postradałem rozum? O! Boże mój... Tylko obłąkaniem możnaby to wytłumaczyć... Czyż jestem waryatem?

Uważnie przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze. Później dotknął ręką własnej głowy, jakby chcąc przekonać się, czy nie śni.

— Nie!... Gdybym zwaryował, nie miałbym tych wątpliwości... A zatem wszechświat chyba jest nieskończenie innym, niż ja go sobie wyobrażałem.

Człowiek stworzony jest na obraz i podobieństwo Boskie. A jeżeli Bóg jest Najwyższym Poznaniem, to także jest Najwyższą Tajemnicą. A On nie objawia nam poznania Swego, ani

tajemnic swoich, inaczej, jak tylko przez wolę swoją świętą i niepowstrzymany bieg rzeczy, którym Sam kieruje... Bądź Wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi...

Obrócił się ku młodzieńcowi i przycisnął go do piersi.

— I ty także jesteś Piotrem de Givreuse! — wyszeptał.

Spostrzegł, że młody żołnierz jest blady i jakiś ociężały:

— Co ci to, moje dziecko?

— To nic... Tylko czuję się tak bardzo znużonym, jeżeli jestem bez niego.

— Chodźmy więc do niego!

— Cóż teraz zrobimy? — zapytał hrabia de Rougeterre, kiedy wszyscy trzej znaleźli się znowu razem — Z pewnością nie widzieliście się jeszcze z waszą matką?

— Jakżebyśmy śmiali?... Musieliśmy się poradzić ciebie wuju. Gdybyśmy tak nagle bez przygotowania pojawili się przed nią, wrażenie mogłoby być zbyt silne, zanałdo wstrząsające. Każdy z osobna także nie mogliśmy się zdecydować, aby mamy nie przerazić widocznym osłabieniem. Chodzi o to, aby niepotrzeba było się rozdzielać i by nasze podobieństwo wydawało się niezwykle przypadkiem. Oto co umyślił. Jeden z nas przestanie być Piotrem de Givreuse. Podobieństwo, choćby nawet tak uderzające, zwłaszcza za uprzednim przygotowaniem, wywoła co najwyżej zdumienie, ale nie grozę przerażenia. Matka zrozumie, że pomiędzy nami mogła, a nawet musiała zrodzić się przyjaźń gorąca... podobna do przywiązania, jakie istnieje zwykle pomiędzy bliźniakami.

Hrabia Augustyn zastanawiał się dłuższy czas. Trudno mu było jakoś uporządkować myśli. Oczywistość interwencji jakiejś potęgi nadludzkiej stawiała się dla niego jasną.

Ale umysł jego wahał się ciągle pomiędzy nadzieją i rozpaczą. To zdało mu się, że jest igraszką mocy ciemności — to dusza kołysała się w zachwycie Łaski z tamtego świata.

Błędnie spoglądając, odpowiedział:

— Zrobię co zechcecie. Zresztą pomysł wasz wydaje mi się rozsądnym. Musimy się tylko porozumieć co do niektórych szczegółów... — Ale...

Hrabia to bladł, to czerwienił się. Głos jego przechodził w sflumiony szept.

— Czy nie zachowaliście w pamięci wspomnienia... o czemś nadzwyczajnym, co się stało... Wspomnienia podobnego do sennego widziadła.

— Nie pamiętam nic. Pomiedzy chwilą, kiedy ja padłem ranny, a chwilą kiedy my obudziliśmy się, istnieje jakaś próżnia, niewypełniona najlżejszym nawet błyskiem pamięci.

— Zupełnie?

— Zupełnie.

— Bóg nie chce, abyśmy wiedzieli! — rzekł hrabia, składając gestem modlitewnym dłonie — Niechaj się dzieje święta Jego wola...

ROZDZIAŁ VI.

Kiedy pani Givreuse posłyszala opowiadanie hrabiego Augustyna, zdumiała się. Poczem zapytała:

— I rzeczywiście podobieństwo wydaje ci się tak absolutnem?

— Być może, że są jakie drobne, niezmiernie drobne różnice. Byłem nazbyt wzruszony, aby je spostrzedz. W każdym razie nie można sobie wyobrazić, aby istniał ktoś bardziej podobny do Piotra.

— Ja się napewno nie omylę — wyrzekła w zadumie pani Givreuse. — Matki posiadają szósty zmysł, Augustynie.

Uśmiechnęła się. Duszę jej zalewał ogrom macierzyńskiej miłości.

Nagle krzyknęła wzburzona:

— Gdzie on jest?! Dlaczego niema go do tychczas przy mnie?! Jakże mógł pozwolić, żebyś czekała?... —

— Z troskliwości o ciebie... obawiał się...

Przerwała z trwogą:

— Ty ukrywasz może coś przedemną! Jego rany...

— Nie, nie są niebezpieczne. Ale Piotr wygląda jeszcze mizernie i blado. Bez wątpienia mógł ci donieść o swoim powrocie, ale wiesz, jak teraz funkcjonują poczty i telegrafy.

Pani Givreuse uspokoiła się. Wielka słodycz malowała się na jej jasnej twarzy, której wiek nie zdołał odebrać świeżości. Kilka zaledwie dostrzegalnych zmarszczek, podobnych do cie-

niutkich nitek, widniało koło ust i skroni. Miała takie same szmaragdowe oczy, jak Piotr i ogromne włosy, uczesane à la Montespan. Jedwabiste złoto tych włosów przeświecało gdzieś srebrenymi pasemkami.

— Ach! Żeby przybył jak najprędzej! — szepnęła.

Pani Givreuse stała, kiedy do pokoju weszli obaj młodzieńcy. Rzuciła się na ich spotkanie, ale nagle zatrzymała się, zdjęta bezgranicznym zdumieniem.

Trwała tak chwilę zmieszana i zarazem uszczęśliwiona, starając się rozpoznać syna od obcego człowieka. Bysiry wzrok jej dostrzegał nadzwyczaj subtelne różnice. Twarz jednego zdawała się być nieco szerszą. Cera nie była zupełnie identyczna.

Matka nie umiała powiedzieć, który z nich bardziej podobny jest do Piotra.

— Synul... — krzyknęła w nadziei, że to wezwanie wywoła wzruszenie, które będzie odpowiedzią.

Dwa oblicza młodzieńcze wyrażały te same uczucia. Wreszcie jeden głos, drżący i niepewny odparł:

— Mamol!

Już pochwyliła w objęcia tego, który odpowiedział.

Ale w wejrzeniu tamtego dostrzegła tyle tkliwości, że to wstrząsnęło nią.

— Witaj mi chłopcze — rzekła, podając mu rękę. — Powiedziano mi, że przyjaźń wasza jest niezwykle serdeczna.

Westchnęła i mimowoli dorzuciła:

— Rozumiem to doskonale!

Całowała jeszcze tego pierwszego. Potem, porwana jakąś siłą przemożną, położyła obie ręce na ramionach drugiego.

Cofnęła się zaraz. Wstrząsnęła nią burza sprzecznych uczuć. Niemiły przymus mieszał się z radością, a nadzieja zaprawna była głuchą, nieokreśloną troską.

Dały się słyszeć lekkie kroki. W obramowaniu drzwi ukazała się postać młodej kobiety. Szła rytmicznym krokiem rybaczek-wyspiarek.

Wysoka była. Miała twarz dziewczyny z północy, delikatną pleć, oczy zmienne jak fala, włosy czarne z przeblaskiem miedzi, nad czołem przycięte w grzywkę.

Kiedy zobaczyła młodych ludzi, krzyknęła. Krzyk ten zabrzmiał niby skarga.

Stała nieruchoma, spoglądając rozszerzonymi źrenicami. Oni patrzeli na nią, obaj bardzo bladzi.

— Masz może bystrzejszy wzrok odemnie, Walentyne — rzekła pani Givreuse. — Wyobraź sobie, że ja nie mogłam rozpoznać Piotra.

Młoda dziewczyna badała ich wzrokiem. Skupiła całą uwagę, przywołując na pomoc, tak żywą i świeżą w jej wieku, pamięć kształtów i barw.

Po długiej chwili rzuciła wreszcie zniechęcona:

— Doprawdy, nie wiem!

Część druga.

I.

Mijały dnie. Zwolna wszechpotężne przyzwyczajenie wprowadzało w normalny bieg życia najdziwniejszą przygodę, jaka się kiedykolwiek przydarzyła w dziejach ludzkości.

Pani Givreuse nawykła do podwójnej osobowości swego syna i tego fantastycznego nieznanego, który przyjął nazwisko Filipa Frémeuse.

W przeciągu dwóch tygodni młodzieńcy nie wychodzili wcale z domu. Pozwolili sobie tylko kilka razy wieczorem na ukradkowy spacer, poprzez najbardziej puste ulice miasta.

Nie rozstawali się ani na chwilę. Nietylko dlatego, by uniknąć osłabienia fizycznego, ale i dlatego także, iż w czasie rozłąki ogarniało ich coś naksztalt przerażenia, jakieś poczucie straszliwej samotności.

Powoli jednak i nieznacznie dokonywały się w nich pewne przemiany. Skóra stawała się mniej przezroczystą, cera zdrowszą. Włosy gęstniały.

Zwiększył się również ciężar ich ciała. Wazyli już teraz nie trzydzieści siedm, jak w Gavres, ale czterdzieści cztery kilo.

(Ciąg dalszy nastąpi!)